

ZUZANNA ORLIŃSKA

WSTYDU za grosz!



Z podziękowaniami dla całej ekipy *Dziadków*,
dzięki której mogłam usłyszeć,
jak tekst sztuki brzmi na scenie.

Rozdział I

Depilacja brazylijska. To były ostatnie słowa, jakie usłyszałam przed śmiercią.

– Przecież jeszcze żyjesz.

– Tak się tylko wydaje.

Babka odwróciła głowę i zapatrzyła się w styczniowe niebo za oknem. Na jednolicie szarym tle wyraźnie rysował się jej profil: długi, spiczasto zakończony nos, jakby wystrugany z drewna, i jedna cienka brew, ironicznie uniesiona.

– Od depilacji jeszcze nikt nie umarł – powiedziała irytująco kpiącym tonem.

– Ale ze wstydu tak! Przecież nawet się mówi: umrzeć ze wstydu.

– Łatwiej powiedzieć, trudniej zrobić.

– Bez obaw, postaram się – burknęła Julianna, a babka natychmiast oderwała wzrok od okna i spojrzała na nią czujnie.

– Dziecko, co też ci chodzi po głowie? Życie to... życie. Nie warto z niego rezygnować z takiego powodu.

– Uważasz, że to głupi powód? – nastroszyła się Julianna.

– Ależ skąd! – zaprotestowała babka i wyglądało na to, że mówi szczerze. – Ja tylko myślę, że żaden, no, może prawie żaden nie jest tak ważny, żeby umierać.

Blade, wiszące nisko nad horyzontem słońce połknęła ciemna chmura i nagle zapadła noc.

– Ale do szkoły już więcej nie pójde – wymamrotała Julianna, obracając się twarzą do ściany i naciągając koc na głowę.

Musiała docenić, że babka powstrzymała się w tym momencie od uwag na temat ocen, egzaminów gimnazjalnych i szans na dobre liceum. Powiedziała tylko:

– Jak chcesz – i poklepała Julianne po ukrytym pod kocem ramieniu.

Babka była w porządku.

Okropny dzień od samego rana.

O jedenastej miała umówione spotkanie w teatrze. Sekretarka wpuściła ją do gabinetu i uprzedziła, że dyrektor jest jeszcze na próbie, więc trzeba będzie poczekać. Czekala więc cierpliwie przy jakiejś orientalnej herbacie i wafelkach, które wyglądały podejrzanie, więc ich nie tknęła.

Rozglądała się dookoła, próbując dostrzec, co się zmieniło od czasu, kiedy była tu ostatni raz, ale właściwie nie musiała się wysilać. Gołym okiem widziała, że zmieniło się wszystko. Nic dziwnego, ostatni raz siedziała tu ponad dwadzieścia pięć lat temu. Obecny dyrektor zapewne kończył wtedy przedszkole.

Zapatrzyła się na fotosy z jakichś spektakli, których nie mogła zidentyfikować. Kostiumy wydawały jej się pretensjonalne, scenografia dziwaczna. Aktorów nie kojarzyła. Nie potrafiła tych niemal jednakowych młodych twarzy powiązać z żadnymi nazwiskami.

Czekala tak od dobrych dwudziestu minut, kiedy wszedł dyrektor.

– Witam panią! – zawołał i zanim zdążyła wyciągnąć rękę na powitanie, sam chwycił ją w obie dłonie i uścisnął, mocno potrząsając.

Wita się jak proboszcz – przemknęło jej przez głowę absurdałne skojarzenie.

On tymczasem zajął miejsce w dyrektorskim fotelu. Oparł łokcie na blacie biurka, splótł palce i odezwał się, nie czekając, aż ona coś powie:

– Nie będę ukrywał, pani Delfino, że nie mam nic dobrego do zakomunikowania. Sytuacja jest trudna. Co tu dużo gadać, słabo z kasą i już. Robię trzy premiery w tym sezonie i jadę cały czas na jakimś dofinansowaniu. Ja już siwy jestem normalnie od tego! – Wsunął palce w płową czuprynę i zmierzwił włosy. – Miasto, sponsorzy, czasem jakiś fundusz europejski... Ale co ja tu będę panią zanudzał. Może ciasteczko? – Podsunął jej talerzyk. – Zdrowe, bez glutenu.

– Dziękuję bardzo – skorzystała z okazji, żeby dojść do głosu. – To oczywiste, że w tym sezonie już nic się nie da zrobić. Rzecz jasna, chodzi o przyszły. Nie wiem, czy pan czytał mój projekt, mogłabym zacząć próby od września...

Obrzucił ją nieprzyjemnym, taksującym spojrzeniem agenta ubezpieczeniowego, który ocenia swojego klienta.

Zastanawia się, czy we wrześniu będę jeszcze żyła – pomyślała.

– Pani Delfino – znów wsparł się na łokciach i odchrząknął z zakłopotaniem. – Idzie o to... Ja myślę, że jednak... no, nam jest nie po drodze repertuarowo.

– Repertuarowo? – zdziwiła się. – Patrzę na ściany pańskiego gabinetu i widzę, że wystawia pan to, co wszyscy.

– No dobra. – Chyba się zdenerwował, bo wstał i podszedł do okna. – To powiem inaczej, tylko niech się pani nie obrazi. Pani robi teatr, jakiego już się nie robi. To nie chodzi o to, co się wystawia, tylko jak. Żeby było aktualnie. Krytycznie żeby było. A pani przecież nawet nie pracuje z dramaturgiem.

Poczuła, że zalewa ją rumieniec, pewnie skoczyło jej ciśnienie.

Szlag by to trafił. Jeszcze mu się wykopyrtnę na dyrektorskim dywanie – pomyślała.

– To oczywiście nie pani wina, że pani nie nadąża z trzymaniem ręki na pulsie współczesności – wypalił już bez ogródek. – To po prostu biologia. Wymiana pokoleń. Sygnał, że trzeba zostawić scenę młodszym...

Podążyła wzrokiem za gestem jego dłoni i wśród fotosów na ścianie spostrzegła znajomą sylwetkę.

– Aha, ale Krystian to u pana pracuje, co? Byłam z nim na jednym roku.

Spojrzał na zdjęcie.

– A, to z premiery. Mieliśmy przyjemność gościć mistrza w listopadzie.

– Rozumiem – powiedziała, wstając. – Początkowo sądziłam, że dyskryminuje mnie pan tylko ze względu na wiek, ale teraz widzę, że także z powodu płci. Żegnam pana. – Odwróciła się ku drzwiom z gracją baletnicy. Na szczęście wciąż jeszcze nieźle jej to wychodziło.

Przestraszył się. Zagroził jej drogę i chwycił za klamkę.

– Pani Delfino, co też pani opowiada! Jaka dyskryminacja? Ja tylko mówię, jakie są realia, a pani się od razu gniewa.

– Proszę mnie wypuścić – zażądała.

– Ale po co od razu tak nerwowo?

– Niech mnie pan wypuści – powtórzyła.

Odsunął się od drzwi.

Wyszła bez słowa.

– Niech pani spróbuje u Majkowskiego! – Wychylił się za nią, kiedy była już na korytarzu. – On ma dotacje i repertuar taki bardziej... no, jakby pod panią!

Wsiadając do auta, czuła, że trzęsie się z wściekłości. Żeby uspokoić nerwy, gdy tylko ruszyła, włączyła radio. Dwójkę, zawsze słuchała tej stacji w samochodzie. Właśnie wybrzmiały ostatnie nuty jakiegoś utworu i prezenter powiedział poważnym tonem:

– Mamy dla państwa smutną wiadomość. W wieku osiemdziesięciu jeden lat zmarł Jacques Lassalle, wybitny francuski reżyser teatralny...

Szybko wcisnęła guzik, wyłączając dźwięk.

Jeszcze i to.

Osobiście spotkała się z Lassalle'em dwa razy w życiu: dawno temu podczas festiwalu w Avignonie i przed paru laty na jakimś premierze w Warszawie. Zamienili zdawkowo kilka słów. Zresztą, nie o to chodziło. Kiedy umierał ktoś trochę tylko starszy od niej, kogo znała i ceniła, od razu przypominała sobie, ile ma lat. I że sama może wkrótce wypaść z tego wyścigu, uderzając o bandę...

Łup!

Zgrzytnęła blacha, sypnęło się szkło. Wyglądało na to, że wjechała w kosz na śmieci koło przystanku autobusowego. Jakie szczęście, że nie w przystanek! Spojrzała na sporą gromadkę czekających na autobus. Zakręciło jej się w głowie.

– Proszę pani, czy wszystko w porządku?! – zawołała jakaś kobieta, zaglądając przez boczną szybę.

Delfina otworzyła drzwi i ostrożnie wysiadła. Wcale nie była pewna, czy wszystko w porządku. Usłyszała sygnał policyjnego radiowozu. Otaczający ją tłumek gęstniał, wszyscy mówili naraz.

– Kto w ogóle takiej babci dał prawo jazdy? – podenerwowany męski głos wybił się ponad niespokojny szmer.

Znowu to samo. Czyżby na wszystko była już za stara?

Muszę zadzwonić do Andrzeja – pomyślała. Ale ledwo sięgnęła po telefon, rozległ się dzwonek i na wyświetlaczu pojawiło się „Julianka”.

– Halo? – odezwała się słabym głosem, przykładając komórkę do ucha.

– Babciu? – usłyszała. – Gdzie jesteś? Stało się coś okropnego.

Drugiego stycznia 2018 roku o szesnastej osiemnaście Aleksy Skierski zobaczył anioła.

Aleksy nie był mistykiem ani fanatykiem religijnym. Nie miał wizji i objawień. Nie należał może do osób stąpających twardo po ziemi, ale też nie do całkiem oderwanych od rzeczywistości. A jednak przydarzyło się to właśnie jemu na stacji metra Raławicka.

Znajdował się u podnóża schodów, kiedy odjechał pociąg w kierunku Kabat. Wzdłuż peronu rozszedł się podmuch wzniecony pędem, a przed oczami Aleksego niespodziewanie zawirowały białe piórka. Otoczyły go chmurą, oblepiły twarz, dłonie i kurtkę, a on oganiał się od nich jak od natrętnych białych muszek. Dopiero kiedy pióra opadły pod jego stopy, spostrzegł, skąd się wzięły.

Musiały pochodzić z rozciętego rękawa srebrnej puchówki. Właścicielka kurtki stała na peronie bardzo zmartwiona i wraz z koleżanką w puchówce koloru czerwonego poddawała oględzinom zniszczone ubranie.

Tak na oko miała piętnaście lat. Długie włosy, bardzo jasne, prawie srebrzyste, spływały spod białej czapki na ramiona i wraz ze srebrną kurtką sprawiały wrażenie, jakby dziewczyna miała na sobie pełną blasku zbroję. Z rozmowy, którą prowadziła z koleżanką, wynikało, że rękaw niechcący rozciął jej w wagonie metra ktoś wiozący metalową rynnę.

– Kto normalny wozi rynny metrem? – irytowała się koleżanka, a Anioł potakiwał, ze smutkiem oglądając pionowe rozdarcie biegnące wzdłuż rękawa od ramienia do samego nadgarstka.

– Powinnaś wystąpić o odszkodowanie! – podbechtywała ta w czerwonym, a Anioł tylko wzruszał ramionami.

– Gdzie ja go teraz znajdę?

– No to do zarządu metra!

– Daj spokój...

Aleksy śledziłby dalej tę zajmującą scenę, ale nadjechał kolejny pociąg, a podeptane stopami pasażerów, już nie tak nieskazitelnie białe piórka poderwały się znów do wirowego tańca. Z żalem wsiadł do wagonu. Przed stacją Wilanowska, spojrzawszy na swoje odbicie w szybie, odkrył, że wciąż się uśmiecha. Na stacji Służew spostrzegł, że ma przyczepione do rękawa białe piórko. Zerknął, czy nikt nie widzi, i schował je na pamiątkę do kieszeni.

Obudziła się i przez moment nie wiedziała, gdzie jest. Najpierw zarejestrowała szczególne światło wlewające się przez okno balkonowe, światło barwy zimowego zmierzchu – fioletowe niebo nad Polem Mokotowskim podbiegłe ciepłą smugą oranżu z latarni. Usłyszała, jak szumi w dole ulica Świętego Andrzeja Boboli, zwykle bardzo ruchliwa w godzinach szczytu. Z kuchni dochodził spokojny głos babci Finy. Opowiadała coś, zapewne panu Andrzejowi, sądząc z krótkich, szczekliwych odpowiedzi.

W tej samej chwili wszystko sobie przypomniała i zanurkowała znów pod koc. Nie mogła, po prostu nie mogła odsłonić twarzy, chociaż w tej chwili nie widział jej nikt prócz kotów.

Jednak im dłużej leżała z głową pod grubym wełnianym pleciem, tym lepiej rozumiała, że nie da się tak spędzić reszty życia. Odsunęła na bok drapiące okrycie i z westchnieniem usiadła.

Koty patrzyły podejrzliwym wzrokiem. Brytyjski grubas Antracyt, pieśzczotliwie zwany Antkiem, śledził ją z parapetu ślepiami w kolorze lamp sodowych, a biała, szczuplutka Pina obserwowała sytuację wytwornie upozowana na oparciu fotela.

– Nie powiedziałaś jej, że miałaś wypadek?! – krzyknął pan Andrzej w kuchni, a Julianka aż podskoczyła na kanapie. Chyba był trochę głuchy, bo zawsze mówił podniesionym głosem.

– Daj spokój, ona ma naprawdę poważne zmartwienie – odpowiedziała babka.

– A że ty rozbiłaś samochód, to nie jest poważne zmartwienie?! – huknął znowu sąsiad.

O czym oni rozmawiają? Jaki samochód? – Julianna pomyślała z przerażeniem, że może przespała na tej kanapie kilka dni i coś istotnego ją ominęło.

– Nie widzę innego wyjścia, jak tylko przejąć nad nią pieczę. Zawzięła się, że do szkoły nie pójdzie, i w tej sytuacji uważam, że nie należy jej zmuszać. W domu jej nie zostawię, bo jeszcze sobie coś zrobi. Wiesz, jaki tam panuje nastrój. Zresztą, czy matka w depresji jest odpowiednią opieką?

– Ty też masz depresję.

Delfina prychnęła.

– Mój drogi, z depresją jest jak z kapeluszem. Trzeba umieć ją nosić.

– Fina, kto dzisiaj nosi kapelusze? Tylko staruszki do kościoła!

– Wypraszam sobie! Poza tym, o czym my mówimy? Przyczepiłeś się do kapelusza, a dobrze wiesz, o co mi chodzi. Dziecko przy niej złapie jeszcze większego doła.

– Już widzę, co Marta na to powie... – mruknął.

Trzeba przyznać, że Delfina też się nad tym zastanawiała. Z Andrzejem mogła się sprzeczać w nieskończoność, знаła jego impulsywny charakter. Ale rozmowa z własną córką to był twardy orzech do zgryzienia.

Na szczęście mam jeszcze zdrowe zęby – pomyślała i żeby nie przedłużyć, od razu sięgnęła po telefon. – Tylko delikatnie, nie za obcesowo, bo się zdenerwuje... – powtarzała sobie w duchu, czekając, aż Marta odbierze.

– Mamo? – W pytaniu dało się wyczuć ostrą nerwową nutę. Tylko spokojnie, ostrożnie, pomalutku...

– Cześć, Marteczko – starała się, by jej głos brzmiał swobodnie. – Przepraszam, że dzwonię dopiero teraz, ale miałam w południe wypadek samochodowy, a potem musiałam pocieszać zapłakaną Juliankę, która chciała odebrać sobie życie, więc

dopiero przed chwilą przyszło mi do głowy, że jeszcze nic nie wiesz.

Oj, to chyba nie wypadło najlepiej.

– Boże, mamó! Co ty opowiadasz? Co się stało? Gdzie wy jesteście? Żyjesz? Ona żyje?

– Gdybym nie żyła, chyba nie rozmawiałybyśmy teraz ze sobą, prawda? – To miał być żart, ale zabrzmiał jakoś lodowato. – Żyjemy obie i mamy się dobrze, tylko samochód trochę zniszczony, na szczęście Andrzej się tym zajmie.

– Ale co się stało? Co się stało? – powtarzała Marta spanikowanym głosem, tak jakby od ilości powtórzeń pytania zależała precyzja odpowiedzi.

– Nic wielkiego, przód trochę wgnieciony i stłuczony prawy reflektor.

– Nie pytam o samochód! – zawołała histerycznie córka. – O Juliannę pytam!

– Przeżyła w szkole okropne upokorzenie – powiedziała Delfina oględnie, bo nie chciała wywlekać szczegółów przy Andrzeju. – Ktoś znalazł w jej telefonie wyniki wyszukiwania, które ją... hm... zawstydziły. I ośmieszył ją przy całej klasie. Przyszła załamana. Nie chce wracać do szkoły. Myślę, że rozsądnie będzie, jak prześpi się u mnie. Zresztą, nie mam jej czym odwieźć, a nie chcę, żeby łaźła sama po nocy. Jutro pomyślimy, co dalej.

W słuchawce zapadła cisza. Marta chyba powoli przetrawiała te wszystkie informacje.

– Ale dlaczego... Dlaczego przyszła z tym do ciebie? Czemu nie wróciła od razu do domu?

Delfina już, już chciała udzielić szczerzej i dość brutalnej odpowiedzi na to pytanie, lecz w samą porę ugryzła się w język.

Zrobiły sobie herbatę z pomarańczą i imbirem i usiadły, sprawiedliwie dzieląc się kotami. Antek władował się na kolana Juliance, a Pina przycupnęła w fotelu obok babki i łaskawie pozwalala się smyrać pod spiczastą białą bródką.

– Matka napisze ci zwolnienie do ferii. Potem dwa tygodnie wolnego, a później... później zobaczymy – planowała babcia Fina.

Julianka słuchała, potakiwała, popijała małymi łydkami rozgrzewający napój, wodziła palcami po pluszowym futerku kota i czuła się jak rozbitek z Titanica na tratwie ratunkowej. Titanic zderzył się z górą lodową. Ona miała wrażenie, że w chwili katastrofy sama zamieniła się w lodowiec – nagle wszystko w niej stężało, zastygło, zamarło i zlodowaciało. Teraz lód powoli tajał, a to uczucie było tak realne, że patrząc na podłogę, spodziewała się zobaczyć kałużę wody wokół swoich stóp.

– Powiesz mi jeszcze raz, jak to było? – zapytała babcia.

Julka się skrzywiła, ale po przeanalizowaniu swoich uczuć doszła do wniosku, że góra lodowa stopniała na tyle, by można było zrelacjonować wszystko bez tego okropnego, palącego bólu, który czuła od rana.

– Tak jak ci już mówiłam. Siedziałam z dziewczynami na przerwie. Gadały o tej depilacji... – zaczęła. – Nie wiedziałam za dobrze, co to znaczy, że brazylijska. Więc wpisałam sobie w wyszukiwarkę. To już było po dzwonku, jak szłam na lekcję. Bartek mnie zobaczył, bo on siedzi w ławce przede mną. Powiedział: „A co ty, Julka, tak chowasz ten telefon? Co tam masz, esemesy od chłopaka? Patrzcie, ale czerwona się zrobiła! Julka, dawaj, muszę zobaczyć, co on ci za zdjęcia przysłał!” – i łaps za moją komórkę. Akurat wszedł pan od geografii. I przy

wszystkich Bartek na cały głos przeczytał, wolno i wyraźnie, jak w pierwszej klasie, wiesz, z podziałem na sylaby: „DE-PI-LA-CJA BRA-ZY-LIJ-SKA”.

Zamilkła na wspomnienie tego strasznego momentu.

– A co było potem? – przerwała ciszę babka.

– Co potem? A co mogło być potem? – Julianna wzruszyła ramionami. – Śmiech. Straszny śmiech, trwający i trwający bez końca.

– A pan od geografii też się śmiał?

– On chyba nie, zresztą nie patrzyłam. Nie mogłam wytrzymać tego śmiechu, więc zerwałam się, chwyciłam swój plecak i wyszłam. Ale nawet za drzwiami słyszałam, że wciąż jeszcze się śmieją.

Znowu zapadła cisza. Tylko koty mruczały unisono.

– Opowiedziałas to wszystko mojej mamie? – zapytała Julianka.

– Tak ogólnikowo, jak tylko się dało – uspokoiła ją babcia.

– Wiesz, musiałam, żeby rozumiała, jaka jest sytuacja. Ale unikałam zbędnych detali.

– Jasne.

Julianka wyssała ostatni plasterzek pomarańczy i odstawiła kubek.

– Słuchaj, wiem, że to nie jest proste, ale postaraj się o tym nie myśleć – poprosiła babka poważnie. – Spróbujesz?

– No pewnie – obiecała Julianka bez przekonania.

Aleksy wrócił z kina i bardzo mu zależało, by szybko zanotować na blogu wrażenia z obejrzanego filmu. Z zasady pisał tylko o dziełach, które powstały przed jego urodzeniem, ale tym

razem miał pretekst, bo *Blade Runner 2049* był kontynuacją filmu sprzed prawie czterech dekad. Już w metrze układał sobie w głowie, jak porówna obie części. Wszedł do domu i zorientował się, że atmosfera jest napięta.

– Alik, no nareszcie! Chodź na kolację! – powitał go tata.

– Zaraz – burknął Aleksy i ruszył do komputera. Bał się, że wymyślone zdania za chwilę mu umkną.

Naszpicował zaledwie wstępny zarys recenzji, bo cały czas ktoś mu przerywał. Wołali go ciągle, jakby nie rozumieli prostego słówka „zaraz”. Tracił mnóstwo energii, odpowiadając im coraz głośniejsze i coraz bardziej dobitnie. Wiele wysiłku kosztowało go podtrzymywanie tej pyskówki, a jednocześnie podążanie za tokiem własnych myśli.

W takich sytuacjach widział siebie jako odkrywcę przemierzającego amazońską dżunglę, w pocie czoła torującego sobie drogę maczetą, stąpającego ostrożnie, by nie nadepnąć na jadowitego węża lub by nie spłoszyć drzemiącej dzikiej bestii. Musiał działać sprawnie i szybko, w stanie najwyższej koncentracji. A tymczasem zza oplecionych lianami grubych pni co chwila wyłaniali się mamusia lub tatuś...

– Alik!

Zignorował intruza. Nie mógł się skupić na pisaniu, więc zajrzał jeszcze tylko szybciotko na Filmweb, żeby sprawdzić, czy ktoś odpowiedział na jego komentarz do recenzji nowych *Gwiezdnych wojen*.

– Alik!

– Mówiłem już, że zaraz przyjdę, tak?

– Chodź szybko, bo mama jest zła.

To był Leon. Naprawdę, mogliby sobie darować takie chwyt. Wysyłanie młodszego brata w nadziei, że jego dziecięcy urok coś wskóra...

- Nie widzisz, że pracuję?
- Mama jest naprawdę zła.
- Co się stało?
- Tarta jej nie wyszła. Tak przynajmniej mówi.
- Jaka tarta?
- Z kozim serem i buraczkami.

Teraz zrozumiał, że wieczór jest już stracony. Świetnie umiał wyobrazić sobie jego przebieg. Będzie musiał:

a) zjeść nieudaną tartę i wychwalać, jak bardzo jest pyszna, wysłuchując, że się nie zna;

b) zjeść udaną tartę i próbować dowieść, że fakt, iż różni się nieco wyglądem od tej, która widnieje na zdjęciu z bloga kulinarnego, nie przekreśla jej walorów smakowych;

c) zjeść tartę z punktu a) lub b), lecz na zimno.

Stanowczo najmniej podobało mu się rozwiązanie c). Westchnął ciężko i wstał od biurka. W tej samej chwili przypomniało mu się, że ma w kieszeni białe piórko Anioła. Wyjął je i położył na otwartej dłoni. Nie ważyło ani grama, jakby nie istniało. Podświadomie spodziewał się, że piórko zniknie, lecz nic niezwykłego się nie zdarzyło. Leżało na dłoni, drżąc lekko pod jego oddechem. Wobec tego Alik wziął je ostrożnie w dwa palce i włożył do pudełka, w którym trzymał przybory do pisania. Po czym przybrał męczeńską minę i powłókł się do stołu.

Rozdział 2

O siódmej rano obudził ją dzwonek telefonu. Oprzytomniała natychmiast i zerwała się z łóżka, czując w ustach mdlący smak strachu. Od kilku lat tak właśnie reagowała na telefony skoro świt. Dokładnie od chwili, gdy pewnego listopadowego poranka obudzono ją, dzwoniąc z Katowic, dokąd Witek pojechał zaledwie dzień wcześniej na próbę prawykonania swojej symfonii z Narodową Orkiestrą Polskiego Radia. Swojej ostatniej symfonii.

– Słucham? Szostakowa – rzuciła do słuchawki. Szostakowa – krótko i zwięźle, jakby ktoś świstał przez zęby. Sygnał, że jest się zwartym i gotowym do przyjęcia nawet najgorszych wieści.

– Dzień dobry, moje nazwisko Woś Ewelina, dzwonię z Centrum Medycyny Kompleksowej – wydekłamał monotony nosowy głos. – Chcielibyśmy zaprosić mieszkańców Warszawy na badania układu krążenia, po których dostaną państwo dokładne wyniki wraz z omówieniem aktualnego stanu zdrowia...

Mężne serce Delfiny zakołatało gwałtownie i zjechało gdzieś w okolice żołądka jak na rollercoasterze w lunaparku. Ach, to nic. Fałszywy alarm.

– Czy mam przyjemność rozmawiać z mieszkanką Warszawy w wieku powyżej pięćdziesięciu pięciu lat? Jeśli tak, to pozwolę sobie przesłać zaproszenie...

– O, co to, to nie – Delfina zdecydowanie przerwała pani Woś. – Nie dzisiaj. Dzisiaj jestem mieszkańcem Warszawy płci

męskiej w wieku od dwudziestu do trzydziestu pięciu lat. No, góra trzydzieści osiem. Więc niestety nic z tego. Dziękuję i życzę miłego dnia.

Odłożyła słuchawkę, owinęła się szlafrokiem i poszła do łazienki krokiem dziarskiego trzydziestopięciolatka.

Juliana pokroiła podeschniętą bułkę i opieкла grzanki w tosterze. Postawiła na stole masło, twarożek, plasterki bladawego zimowego pomidora. Kiedy babcia weszła, śniadanie było gotowe.

– Wygląda bardzo optymistycznie – oceniła babka.

– Bardziej optymistycznie niż ja?

Spojrzała na nią uważnie.

– Nie, ty też jakby trochę lepiej. Pijesz kawę?

– Mama mi nie daje.

– To ci zrobię.

Usiadły przy wąskim stoliczku, piły kawę i chrupały grzanki. Było miło, ale Juliance coś nie dawało spokoju.

– Dzisiaj muszę już nocować w domu – powiedziała.

– Dlaczego?

– Nie mogę zostawić mamy samej.

– Bzdura. Mama nie jest twoim dzieckiem, żebyś musiała się nią zajmować.

– Jest twoim. Nie martwisz się o nią?

Babka upiła łyk kawy.

– Pewnie, że się martwię – odpowiedziała. – Ale nie mogę cały czas na niej siedzieć jak kwoka na jajkach.

– Wszystko przez tę sukę! – Julianka gwałtownie odstawiła filiżankę.

– Hamuj się, Julianno! – skarciła ją babcia. – Są pewne granice kultury, których nie wolno przekraczać. Rozumiem, że ta pani skrzywdziła twoją rodzinę, jednak nie używałabym, mówiąc o niej, aż tak obraźliwych słów!

– Chodziło mi o sukę biłgorajską. Instrument muzyczny – wyjaśniła Julianna.

Babka wyglądała na stropioną.

– Gdyby taty nie zafascynowała suka biłgorajska, nie poznałby tej Karoliny i nie zostawiłby mamy...

– Po co się zastanawiać, co by było gdyby? Gdyby twoja mama nie poszła osiemnaście lat temu na Warszawską Jesień, gdzie spotkała ulubionego studenta dziadka Witka, w ogóle by do niczego nie doszło.

– Wtedy nawet do mnie by nie doszło – mruknęła Julka, smarując grzankę masłem. – I nie musiałabym się przejmować tą suką.

– Julciu!

– No dobra, tak naprawdę to się nazywa fidel płocka. Ale suka brzmi lepiej.

– Owszem, suka brzmi nieźle – zgodziła się babcia. – Na prawdę dramatycznie.

Ledwo zjadły śniadanie, władował się pan Andrzej. Władował się – to słowo najlepiej pasowało do jego sposobu manifestowania własnej obecności. Nadchodził hałaśliwie, trząskając drzwiami, zbyt energicznie się poruszał. Kiedy zwracał się do Julianny, zawsze miała wrażenie, że on naciera, a ona musi się wycofać.

– Fina! – zawołał od drzwi. – Fina! Wyklepałem ten twój wrak!

– Ty mi go wyklepałeś, Andrzejku? Sam? Własnoręcznie?
– No, nie sam, zawiozłem do warsztatu i cały czas patrzyłem temu draniowi na ręce!

– Dlaczego oddałeś mój samochód w ręce drania? – Babcia patrzyła na niego z tym swoim kpiącym uśmieszkiem.

– Drań! Drań! Wiesz, w tych serwisach to lepsze cwaniaki są. Tylko patrz, żeby coś zachachmęcić. Jak się człowiek nie zna, to mogą mu wszystko wmówić.

– Na szczęście ty się znasz, Andrzejku! – Babcia uśmiechnęła się słodko.

– No ba! Ale żebym się nie znał, zaraz by mnie oszukał. Ja patrzę i od razu widzę: oczka rozbiegane, rączki cały czas chodzą. No kanalia po prostu! I złodziej. Gdybym mu na te łapki nie patrzył, toby ci zamontował nie nowy reflektor, tylko taki, który już komuś innemu wcześniej wykręcił. To chytre skunksy są w tych warsztatach.

– Ach, Andrzejku, co ja bym bez ciebie zrobiła! – Babka najwyraźniej bawiła się coraz lepiej. – Jak ci się odwdzięczę?

– Kawy mi zrób, Fina! Mocnej, czarnej, takiej, co pali przełyk jak piekło. I dużo cukru, żeby było niezdrowo, bo na coś przecież trzeba umrzeć.

Julianna czuła się trochę niezręcznie przy panu Andrzejku w pożyczonej babcinej piżamie, więc pod pretekstem, że robi mu miejsce, wymknęła się z kuchni i poszła wziąć prysznic.

Szum wody zagłuszył pokrzykiwania krewkiego sąsiada.

Pan Andrzej na dłuższą metę był męczący.

Wszystkim, którzy znali babkę Delfinę, ta nowa przyjaźń wydawała się dziwna, tak jak dziwiła jej decyzja o sprzedaży pięknego, pełnego antyków i pamiątek mieszkania w moko-

towskiej kamienicy i przeprowadzce do mniejszej o połowę kłitki w brzydkim bloku przy ulicy Bruna.

Zmieściła się tu tylko niewielka część sprzętów z poprzedniego domu, pozostałe babcia posprzedawała lub porozdawała rodzinie i znajomym. Bez żalu – tak się zdawało Juliannie, która nie rozumiała, jak można być równie bezwzględny wobec własnych wspomnień. Z natury raczej sentymentalna, przeżyła utratę mieszkania dziadków tak, jakby ktoś amputował jej znaczną część życia. Pamiętała wzory dywanów, po których raczkowała, ukryte w starym kredensie maleńkie, kruche filiżanki służące jej do zabawy i skrzypienie parkietów pachnących pastą do podłóg. Ten zapach, zmieszany z zapachem wody kolońskiej dziadka, uważała za woń swojego dzieciństwa.

Z mebli pochodzących ze starego mieszkania pozostały tylko pianino, komódka, trzydrzwiowa szafa w sypialni i biurko w pokoju do pracy. Poza tym babka wypełniła wąskie i niskie pomieszczenia neutralnymi sprzętami z Ikei, które pasowały do wszystkiego. Pachniało tu też ładnie – perfumami babci, ale to już nie było to samo.

Babcia jednak zdawała się tego nie zauważać. Siadała na banalnej szarej sofie i zachwycała się niezwykłym widokiem z balkonowego okna.

– Kupiłam najładniejsze zachody słońca w Warszawie! – chwaliła się.

W pakiecie dostała też pana Andrzeja.

Julianka wytarła się do sucha i włożyła wczorajsze ubranie. Cokolwiek stanie się potem, musiała pójść do domu po jakieś rzeczy. Tymczasem nasłuchiwała, czy pan Andrzej dalej siedzi.

Siedział. Przez drzwi słyszała jego podniesiony głos.

Potrafił się zasiedzieć. Mieszkał na tym samym piętrze i miał dużo wolnego, jak to na emeryturze. Parę lat temu umarła mu żona, chyba mniej więcej w tym samym czasie co dziadek Witek. Kiedy babcia Delfina się tu sprowadziła, uznał ją za osobę delikatną i niepraktyczną – i postanowił otoczyć ją opieką. Opieka ta wydawała się Juliannie nieco uciążliwa, lecz babcia znosiła ją z humorem, chociaż wcale nie była tak nieporadna, jak wydawało się panu Andrzejowi. O nie – babka Delfina to naprawdę twarda sztuka. Co do tego Julianka miała całkowitą pewność.

– Która godzina? – Delfina nagle uświadomiła sobie, że jest umówiona. – Rany boskie, już po dziewiątej! Dlaczego nic nie mówicie? – ofuknęła Andrzeja i wnuczkę, która z mokrymi włosami wyglądała jak jakaś rusalka. – Przecież ja mam bardzo ważne spotkanie w sprawie pracy! Andrzej, dawaj kluczyki!

– Jakie kluczyki?

– Od samochodu, który mi wyklepałeś!

– Fina, co ty, oszalałaś? Przecież on jeszcze stoi w warsztacie! Myślisz, że to się da tak w jeden dzień naprawić?

– Zostawiłeś go tym draniom i złodziejom?

– A co miałem robić? Trzeba było się nie łądować w przyśtanek!

Delfina chciała mu się jeszcze jakoś odgryźć, ale naprawdę jej się spieszyło.

– Wobec tego wezmę taksówkę – westchnęła.

– Nie ma mowy. Ja cię zawiozę. – Andrzej otarł wąsy i odstawił filiżankę po kawie do zlewu. – Na którą masz tam być?

– Na dziesiątą.

- To zbieraj się, kobieto. Będę czekał na dole.
- Zaraz, zaraz... A Julianka? Co z nią? Bo ja muszę potem pozatłatwiać wszystkie sprawy związane z ubezpieczeniem, nie zostawię jej samej na cały dzień.
- A niby dlaczego? – nastroszyła się wnuczka. – Zresztą, ja i tak muszę pójść do siebie, babciu. Nie mam tu żadnych rzeczy.
- Podrzucimy ją po drodze – zdecydował Andrzej i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Na stacji metra Alik rozglądał się bardzo uważnie, lecz tym razem Anioła nie zobaczył. Wsiadł do wagonu pełnego buro i ciepło ubranych pasażerów, których oczy, widoczne w wąskiej szparze między grubym szalikiem a brzegiem zimowej czapki z nieodzownym w tym sezonie futrzanym pomponem, patrzyły obojętnie, smutne lub niewyspane. Lub jedno i drugie naraz. Spędził dwadzieścia minut, próbując zgadnąć, kto z obecnych jest replikantem. Niezbyt konstruktywne zajęcie, ale przynajmniej nie gapił się jak głupi w ekran komórki.

Nie sprawdził rano zastępstw w dzienniku elektronicznym, więc został niemile zaskoczony tym, że zamiast polskiego są dwie chemie. Profilaktycznie zgłosił nieprzygotowanie. Nowy rok zaczynał się niezbyt pomyślnie.

Powiodł wzrokiem po klasie. Kogoś nie było w drugim rzędzie pod ścianą. No tak.

- Nie wiesz, dlaczego nie ma Konopki? – zapytał Janka Żubera.
- Nie mam pojęcia. – Żuber ziewnął obojętnie. – A co?
- Nic. Nie lubię chemii.
- A co ma do tego Konopka?

– Te precelki działają na mnie jakoś kojąco.

Komu innemu nie odważyłby się tego powiedzieć, ale akurat Janek spośród całej klasy nadawał na najbliższej fali. Pokiwał tylko głową.

– Może jeszcze przyjdzie. Czasem się spóźnia.

– No fakt. A jak nie przyjdzie?

– To będziesz musiał się obejść bez kojących precelków Konopi – westchnął Żuber i otworzył zeszyt.

Mrok zimowego świtu szarzał, przetarty brzaskiem jak brudną ścierką. Można już było rozpoznać toporne sylwetki trabantów i maluchów zaparkowanych wzdłuż krawężnika, zwaliste pojemniki na śmieci i, w głębi podwórza, pochylony trzepak. Zadzwońło szkło. To mleczarz, ubrany w waciak i czapkę uszanekę, z impetem uderzył skrzynką pełną butelek o schodek przy bramie. Dozorca, oparty o szuflę do odśnieżania, przyjrzał mu się z dezaprobatą, ciaśniej owinął nos szalikiem, a potem znów pogрузzył się w filozoficznej zadumie. Sprzątać i tak się nie opłacało.

Im jaśniej się robiło, tym większy był ruch. Tęgi pan w palcie z futrzanym kołnierzem przeszedł na drugą stronę ulicy i z rezygnacją stanął w kolejce przed niewielkim zielonym kioskiem z szyldem „RSW Prasa-Książka-Ruch”. Stali tam już trzej inni, bardzo podobni panowie i kilka kobiet. Każda z tych osób, gdy nadchodziła jej kolej, pochylała się ku małemu okienku, coś mówiła, wyciągała rękę, a potem odchodziła: z gazetą lub z paczką carmenów.

Dozorca ocknął się z zadumy i zaczął miarowo poruszać szuflą. Powoli środkiem ulicy przejechał niebieski radiowóz.

Z bramy po prawej stronie wyszedł chłopiec z tornistrem, a za nim dziewczyna w żółtym płaszczu.

– Stop! Stop! Cholera jasna! – Młody, chudy nerwus z początkami łysiny wpadł nagle pomiędzy ludzi. – Co tu jest grane?! – wrzeszczał, szarpiąc bordowy golf otulający wystającą grdykę. – Dlaczego ona ma na sobie żółty płaszcz? Przecież mówiłem: szarość, szarość, to wszystko ma być szare i bure. Ten w kożusku też jakiś za optymistyczny. – Chudy machnął ręką w kierunku faceta przy budce „Ruchu”, przewracając stojącą tuż obok makietę trabanta. – Najlepiej dajmy ich wszystkich w waciakach. I wiesz, mam pomysł na taką choreografię: dwunastu tancerzy w kufajkach i w tych takich ruskich butach, no wiesz, takich filcowych, jak one się...

– Walonki – nie wytrzymała i odpowiedziała.

– O, o, w walonkach! A na szyjach mają wieńce z rolek papieru toaletowego i taki taniec, rozumiesz? Jak w *Weselu*, „Raz dokoła, raz dokoła”... – Ujął się pod boki i zadreptał w miejscu.

– A ty jako chochoł? – zadrwiła.

Chudy poczerwieniał, grdyka poruszyła mu się kilka razy w dół i w górę.

– To ma być musical o Peerelu, jasne?! – zawołał. – Więc ma być jak w Peerelu, do cholery!

– Już prawie jest jak w Peerelu. Tylko jak na Gomułkę, to ty, Józiu, jesteś jeszcze za mało łysy.

Po scenie i widowni przeleciał zduszony śmieszek. Dozorca z szuflą schował nos w szaliku. Kilka osób w kolejce do kiosku odwróciło głowy w stronę kulis.

– Ja nie mogę pracować w takiej atmosferze! – zdenerwował się pan Józio.

Zszedł ze sceny, chwycił z fotela marynarkę i wyszedł wyś-
ciem ewakuacyjnym.

– Ale go pani Delfina zdissowała – z uznaniem powiedział
mleczarz.

No to karierę w kolejnym teatrze mam odfajkowaną – wyzna-
ła i nerwowym ruchem sięgnęła po miseczkę z bakaliami. –
Mogłam się nie odzywać, ale co poradzę, że zawsze muszę się
wtrącić. Nawet już nie będę się starać o rozmowę. I tak wiem,
że mnie nie zatrudni. Po czymś takim? Jeszcze na pewno zrobi
mi złą opinię na placu Zbawiciela, czy gdzie oni się tam teraz
spotykają.

– Obchodzi cię ich opinia? – zdziwiła się Marta. – Nigdy się
nie przejmowałaś cudzymi opiniami.

Zabrzmiało to gorzko, jak wyrzut, tak przynajmniej wydało
się Delfinie.

– Muszę się trochę przejmować, jeśli chcę być częścią tego
środowiska. Ale dość już o moich sprawach. Pomówmy o Ju-
liannie. Może pomieszkałaby trochę u mnie?

– A właściwie dlaczego? – nastroszyła się Marta.

Delfina się zawahała.

– Po pierwsze: bo nastolatka w takim trudnym momencie
powinna mieć kogoś bliskiego przez cały czas przy sobie. A ty
chodzisz do pracy i masz mnóstwo własnych kłopotów – od-
powiedziała. – Po drugie: bo ja jestem zniedołężniałą staruszką
w depresji i potrzebuję towarzystwa. Z samym tylko Andrze-
jem można oszaleć. I wreszcie po trzecie: bo ty jesteś kobietą
po przejściach...

– ...w depresji – odpowiedziała jej córka.

– ...w depresji. Powinnaś zadbać trochę o siebie. Wyjdź gdzieś, zapisz się na siłownię, może pójść do fryzjera...

O rany. Znów błąd. Marta zesztyniała. Dotknęła przyciętych równo za uchem, naprawdę bardzo ładnych włosów i obrzuciła niespokojnym spojrzeniem fałdy na brzuchu.

– Uważasz, że jestem zaniedbana, tak? – zapytała płaczliwym głosem. – Myślisz, że dlatego mnie rzucił?

– Nie, nie, skądże, w ogóle nie o to mi chodziło! – Delfina pospieszyła gorliwie, by zatuszować gafę. – Myślę tylko, Martusiu, że zbyt się zasklepiasz w swoim nieszczęściu. Co ty właściwie robisz po pracy?

Marta spuściła wzrok.

Delfina i tak wiedziała od Julianny. Ale Marta najwyraźniej chciała przed nią ukryć, że spędza wieczory, oglądając historyczne seriale, namiętnie piętnując wszystkie merytoryczne nieścisłości oraz błędy w scenografii, kostiumach i dialogach.

– Wiesz, że ja prawie nie mam wolnego czasu – przybrała ton obronny. – A już jak się sesja zacznie...

– Spotkaj się z kimś! Pójść do kina, może nawet do teatru, chociaż akurat teraz niczego ci nie mogę z czystym sercem polecić... Rusz się, dziewczyno! – Aż poderwała się z krzesła, popierając gestami swoją przemowę. – Trzeba się ruszać. I ty powinnaś, i Julianna, i ja też muszę!

Patrzyły na nią ponuro jak dwie kupki nieszczęścia. Takim samym wzrokiem. Dwa smutne, nastroszone gawrony na śniegu. Westchnęła.

– Do czego to podobne, żeby stara babka musiała wam mówić oczywiste rzeczy. No, nie bójcie się, już ja was rozruszam!

To chyba zabrzmiało dosyć groźnie.

W czasie, gdy mama i babcia spierały się o nią, Julka sięgnęła po telefon, który od rana ponaglał ją natarczywymi plumknięciami. Jedenaście wiadomości na Messengerze. Większość od Zosi. Nie miała ochoty odpowiadać, ale zignorować się nie dało.

Co z tb? – pisała zaniepokojona przyjaciółka. – *Jesteś chora?*

Ciekawe, czy ona naprawdę nic nie rozumie? Nie, chyba jednak wie, o co chodzi. Inaczej przecież nie dopytywałaby tak natrętnie. Może nawet czuje się z jakiegoś powodu nie w porządku. A przecież to nie Zośki wina, że Julka się zbłądziła.

Zadzwoń do niej wieczorem – zdecydowała.

Odruchowo sprawdziła, co na Facebooku, ale zaraz tego pozłowała. Już na wstępie uderzyło ją zdjęcie taty. Uśmiechnięty, mrużący oczy od słońca, ze szpakowatą, kędzierzawą czupryną rozwianą przez wiatr stał na tle intensywnie szmaragdowego morza, gestem szczęśliwego posiadacza obejmując smukłą, długowłosą i długonogą osobę o oczach skrytych za wielkimi okularami przeciwsłonecznymi. Podpis pod zdjęciem brzmiał: „Portugalia cudowna! Na obiad dzisiaj najlepszy ho-mar ever ♥Karolina #wbrewpozorompraca #baroque #music #concert”.

Tak wyglądał cały album, w którym zdjęcia z koncertów w Portugalii przeplatały się ze zbliżeniami kolejnych porcji *frutti di mare* oraz selfikami taty i Karoliny pławiących się bezwstydnie w słońcu i szczęściu.

To było okropne.

Mam nadzieję, że mama wyrzuciła go ze znajomych – pomyślała Julianka. – Albo przynajmniej wygasiała. Oglądanie tego na pewno nie poprawiłoby jej nastroju.

Miała ochotę odciąć się od tego wszystkiego. Zniknąć. Tylko jak to zrobić? Mogła się przeprowadzić do babci, ale telefon i tak nosiła stale przy sobie. Chyba że, zupełnie przypadkiem, przez roztargnienie, pakując swoje rzeczy, zostawi go w pokoju.

Zobaczył ją akurat wtedy, kiedy w ogóle nie był na to przygotowany. Znów na stacji Raławicka. Wsiadł z metra i spostrzegł ją po przeciwnej stronie peronu. Stała z tą koleżanką ubraną na czerwono. Sama była w innej kurtce, nie w tej anielskiej z dziurą. Niewiele myśląc, poszedł w ich kierunku, ale właśnie wjechał pociąg w stronę Kabat, otworzył paszczę i połknął obie dziewczyny. Widząc to, Alik ruszył biegiem i zdążył wśliznąć się za nimi w ostatniej chwili przed zamknięciem drzwi.

Wewnątrz panował tłok. Alik został wprasowany między drzwi a plecy najbliższego pasażera, lecz nie narzekał, bo tym pasażerem był Anioł. Długie, srebrne anielskie włosy wchodziły mu do nosa. Nie miał wyboru, musiał powąchać, jak pachną.

Hm. Trochę dziwnie. Mchem albo jakimiś bagiennymi ziołami, jak włosy czarownicy. Mocno, ale dość przyjemnie. Alik poczuł się lekko odurzony, mało brakowało, a oparłby głowę o plecy Anioła. Powstrzymał się w ostatniej chwili.

– Mówię ci, no rewelacyjnie nawilża skalp – usłyszał anielski głos.

– Naprawdę? A jak ja kiedyś używałam takiej ruskiej maski, to właśnie włosy były po tym spoko, ale skalp mocno poirytowany... – odpowiedziała koleżanka w czerwonym.

Alik zbaraniał. Miał jakiś czas temu fazę na stare westerny, a do jego ulubionych filmów należał *Mały Wielki Człowiek*

z genialną rolą Dustina Hoffmana. Oczyma wyobraźni ujrzał masakrę nad Little Bighorn i niezliczone skalpy poległych nawilżone przez wody rzeki. Jasne pukle Custer, z których generał był tak dumny, musiały być tego samego koloru co włosy Anioła...

– Następna stacja: Wilanowska – zapowiedział niski, ciepły głos i dziewczyny zaczęły przesuwac się w stronę wyjścia, które Alik zagradzał.

– Stoi taki niemota, ani wte, ani wewte – skomentowała jakaś pani i dopiero wtedy zorientował się, że musi wysiąść, żeby je wypuścić. One jednak tak się zagadały o krwawych indiańskich rytuałach, że nie zwróciły uwagi na jego gorliwe przeprosiny.

Smętnie patrzył, jak Anioł wznosi się ku górze na ruchomych schodach. Miał ochotę dalej śledzić dziewczyny, lecz obawiał się, że to będzie zbyt nachalne. Poza tym skierowały się do wyjścia prowadzącego do pętli autobusowej. Być możejechały w stronę Wilanowa czy nowych osiedli powstałych przy trasie do Konstancina, a tak daleko nie chciał się zapuszczać. Zaczekał na pociąg w kierunku Młocin i wrócił.

Przez ten czas, gdy przebywał w podziemiach, na zewnątrz zrobiło się ciemno.

Alik ruszył w kierunku domu, bawiąc się myślami o skalpach, które padły łupem straszego Tatanki Yotanki, i o tym, jak bardzo musiały być poirytowane zaistniałą sytuacją.

Wiedział, o co w tej rozmowie chodziło. Bez przesady, nie był aż tak oderwany od rzeczywistości. Miał jednak jakąś skazę czy wrodzoną wadę – nie mógł powstrzymać wartkiej fali skojarzeń, gier wyobraźni, sprowadzających go zawsze i niezmiennie

nie na towarzyskie manowce. Mało kto chwycił jego poczucie humoru i z niewieloma osobami potrafił się porozumieć.

Dlaczego nie umiem po prostu normalnie zagadać? – złościł się na siebie. – Zapytać o coś zwyczajnie, nie siłąć się na kombinacje w rodzaju: „Cześć, gdzie twoje skrzydła?”. Układam sobie w głowie wymyślne zdania, których i tak nie mam odwagi wypowiedzieć na głos. Nie jarzę głupiej gadki o odżywcze do włosów. Może to ja jestem replikantem, a nie oni? – zastanawiał się, przyglądając się przechodniom. – Na pozór taki sam jak wszyscy, brakuje mi tylko czegoś, po czym poznaje się prawdziwego chłopaka. Pewnie dlatego dziewczyny w ogóle mnie nie dostrzegają.

Był inny. Unosił się nad aleją Niepodległości zasnutą wilgotnym smogiem, patrząc z góry na śpieszące w różne strony bure ludzkie sylwetki i światełka pojazdów. Zawsze go śmieszyło, że we wszystkich starych filmach, których akcja toczy się w latach z dwójką na początku, futurystyczne wizje w niczym nie przypominają rzeczywistości. Ale dzisiaj przez ponurą, zimową Warszawę wyraźnie prześwitywało filmowe Los Angeles z przyszłości.

– Hej, Alik!

W zamyśleniu wpadł na Konopkę. Na ramieniu miała plecak, jakby dokąds się wybierała.

– No hej – przywitał ją powściągliwie, nie wychodząc z roli Blade Runnera z Mokotowa. – Nie było cię w szkole – dodał. Przypomniało mu się, kiedy zwrócił uwagę, że precelki ma schowane pod czapką.

– No wiesz, po tym, co się stało... – wydukała, nagle strasznie speszona. Dopiero teraz zauważył, że minę ma bardzo niešťczęśliwą. Starła się nie patrzeć mu w oczy.

– A co się stało? – zapytał jak głupi i od razu zrozumiał, że tak, to prawda, jest porąbanym replikantem, który nie ma duszy, bo z jakichś powodów takiego pytania nie powinien był zadawać.

Rozdział 3

Czy to możliwe, że Alik niczego nie zauważył? Czy tylko tak udawał z litości? Próbowwała w myślach odtworzyć upokarzającą scenę na geografii, ale nie mogła sobie przypomnieć, czy on się wtedy śmiał. Może naprawdę się nie zorientował. Znała go długo, bo chodzili razem już do przedszkola, więc wiedziała, że czasem się wyłączał. Po prostu był kosmitą. Bawił na Ziemi w przelocie, między dostarczeniem towarów na Tatooine a załatwieniem spraw urzędowych w wieżowcach Coruscant. Szkoła mogłaby huczeć od plotek, a on i tak tkwił we własnym świecie.

Babcia jeszcze spała. W mieszkaniu panowała całkowita cisza, tylko za ścianą coś szumiało, zapewne woda w rurach. Julianka się przeciągnęła. Wąski tapczanik nie był zbyt wygodny. Wstała i wyszła z miniaturowego gabinetu, w którym prócz łóżka stało tylko krzesło i masywne biurko. „Solidne *art déco*” – mówiła o nim babcia, choć stylu nie było widać spod stosów książek i papierów, długopisów na różnych etapach wypisania, bibelotów, recept na lekarstwa o skomplikowanych nazwach, samych lekarstw, okularów do dali i bliży oraz prawdopodob-

nie jakichś stanów pośrednich, a także mnóstwa kolorowych samoprzylepnych karteluszków z notatkami poprzyklejanych do laptopa, podstawy lampy kreślarskiej i doniczki z kaktusem. Babcia twierdziła, że jest za stara, żeby przejmować się porządkiem na biurku.

Za to w pozostałych pomieszczeniach było bardzo schludnie. Kuchnia wydawała się służyć tylko do picia kawy i herbaty – wskazywały na to czekające w zlewie filiżanki z brązowymi obręczkami po wewnętrznej stronie. Wszystko inne, talerze, półmiski i nieliczne garnki, stały równiutko w szafkach. Nie było też na wierzchu żadnego jedzenia, co wzbudziło niepokój Julianki. Wczoraj po południu, zmęczona przedłużającą się dyskusją mamy i babci mającą wszelkie zadatki na całkowicie jałową „rozmowę o życiu”, jakich szczególnie nie lubiła, sama zdecydowała o swoim losie: spakowała plecak i wróciła piechotą na Bruna. Mama odwiozła babcię pół godziny później i nawet nie chciała wejść na górę, wyraźnie okazując, jak bardzo jest urażona. Żadna z nich nie pomyślała o zakupach.

Największy pokój, wielkości mniej więcej jednej trzeciej salonu w dawnym mieszkaniu dziadków, także prezentował się nieskazitelnie czysto. Niemal całą ścianę zajmowały drzwi balkonowe i okno. Pod parapetem zamontowano półki na książki. Przy drzwiach stało szacowne pianino dziadka, nad nim wisiał plakat do spektaklu Nelken w wykonaniu Tanztheater Wuppertal, przedstawiający prawie gołą kobietę z akordeonem chodzącą po łanach różowych goździków. Babcia bardzo lubiła ten teatr tańca, po którego założycielce, Pinie Bausch, odziedziczyła imię jej kotka.

Przestrzeń naprzeciw okna, między drzwiami a kanapą, wypełniały zwykłe białe regały pełne książek i płyt. Między kanapą a oknem zmieściła się jeszcze filigranowa komódka ze stojącą lampą, a tuż przy drzwiach balkonowych szary fotel z wysokim oparciem, ukochany przez koty.

Julianka pogłaskała Antka i podrapała Pinę za uchem. Zwierzęta potraktowały to jako zaproszenie na śniadanie i jedno za drugim, z uniesionymi w górę ogonami, podążyły w stronę kuchni. Julianka nasypała im do miseczek suchej karmy.

– Antkowi nie za dużo! – usłyszała za plecami. – On jest gotów zeżreć każdą ilość.

Babcia Fina przemknęła w szlafrocжку do łazienki, gdzie natchmiast wszystkie rury zagrały fanfarę na jej cześć. Na tle ich basowego akompaniamentu babka rozwinęła improwizowaną partię solową radosnym, młodzieńczym sopranem, lekko zmatowionym przez efekt szumiącej wody. Julianka przypomniała sobie pudełka z lekarstwami poniewierające się na biurku. Bardzo była ciekawa, który to antydepresant daje takie efekty.

– Witam serdecznie, dzwonię z firmy Komfort-Klin. Pani numer został wylosowany spośród mieszkańców Warszawy. I w związku z tym dostaje pani taki fajny upominek w postaci cichego i wydajnego odkurzacza. Po odbiór prezentu zapraszam do hotelu Gromada na ulicę plac Powstańców Warszawy...

– Niechże pan się zdecyduje: na ulicę czy plac?

– To jest nazwa ulicy: plac Powstańców Warszawy.

– Nie, to jest nazwa placu. Ulica nie może się nazywać „plac”. Gdyby to była ulica, nazywałaby się ulica Powstańców Warszawy.

- Eee... Ale miejsce pani kojarzy?
 - Kojarzę.
 - To bardzo się cieszę. Jest tylko jeden warunek, by odebrać powyższy prezent. Oczywiście mieści się pani w przedziale wiekowym trzydzieści–siedemdziesiąt lat?
 - Dlaczego miałyby to być takie oczywiste?
 - No ale mieści się pani, czy nie mieści?
 - Nie.
 - A ile lat pani brakuje do trzydziestu?
 - A czemu pan pyta?
 - Bo jeżeli ma pani dwadzieścia osiem lat, to może pani dostać zaproszenie, a jeśli miałyby pani poniżej dwudziestu ośmiu, a powyżej dwudziestu pięciu, zaproponowałbym, że mogłaby pani przyjść z partnerem, który przekroczył dwadzieścia osiem lat.
 - A jeżeli mój partner ma więcej niż osiemdziesiąt?
 - To przepraszam, do widzenia.
- Delfina schowała telefon do torebki.
- Myślałam, że mam mniej niż dwadzieścia osiem lat – powiedziała z zadowoleniem.
 - No, po głosie sądząc, to może rzeczywiście... Ale czemu powiedziałaś, że twój partner ma więcej niż osiemdziesiąt? Ja nie mam jeszcze osiemdziesięciu.
 - Ty, Andrzejku, nie jesteś żadnym moim partnerem.
 - Nie, ja jestem tylko kierowcą, któremu można prawić złośliwości.
 - Kto ci prawi złośliwości? Ja? Żartujesz? Tu, tu zaparkuj! Tam miałeś miejsce! Nie zdążyłeś... Słabo z refleksem jednak.

– No i co? A nie mówiłem? Julka, ty słyszysz, jak mnie ta twoja babka traktuje?

Julka mruknęła coś z tylnego siedzenia. Nie była zadowolona, że zabrali ją ze sobą, upierała się, że zostanie w domu, ale Delfina wciąż nie była pewna, czy może ją zostawić samą.

– Tu masz, przed nosem, zobacz!

– To jest dla inwalidów.

– No to tam, patrz, ten czerwony chyba będzie wyjeżdżał!

Parkowanie w centrum Warszawy było koszmarem. A oni próbowali zaparkować pod samym Pałacem Kultury.

– Udało się. Zaczekajcie tu na mnie. To nie powinno trwać długo.

– Trzymamy kciuki!

Rzeczywiście, nie trwało to długo. Szast-prast, kolejny dyrektor uwinął się z nią w mniej niż piętnaście minut. Kiedy wsiadała do samochodu, trzęsły jej się ręce.

– I jak? – zapytał Andrzej, przyglądając się jej z boku.

– Lepiej nie pytaj! – fuknęła. – To jest... skrajnie upokarzające!

– Co się stało?

– Nic się nie stało! Nawet nie zerknął w tekst, który mu przyniosłam! „Pani Delfino – mówi do mnie takim protekcyjnym tonem, tak wiesz, specjalnie głośno, jakby mi z ucha wystawał aparat słuchowy. – Pani Delfino, po co to pani? Ma pani wnuki?” – pyta. „Mam wnuczkę” – odpowiadam. „No to niech pani się z wnuczką bawi, korzysta z emerytury, przecież pani już się w teatrze napracowała”.

Nie potrafiła opanować płaczu. Sięgnęła do torebki po chusteczkę.

Spodziewała się, że Andrzej zacznie głośno protestować i wyzywać dyrektora od łobuzów i kanalii, lecz on na widok jej łez ścichł jakoś i spokorniał.

– No niegrzecznie powiedział, bardzo niegrzecznie – mruknął, przygryzając wąsa. – Ale w sumie może i on ma rację. Człowiek haruje jak zwierzę całe życie, to czemu nie miałby na emeryturze trochę odpocząć?

– Czemu? Czemu?! – zawołała piskliwie, aż własny głos zabrzmiał jej w uszach nieprzyjemnie. – Bo jestem artystką! Bo mam jeszcze dużo do powiedzenia! Bo w sztuce nie powinny obowiązywać limity wiekowe! – krzyczała coraz bardziej zapalczywie.

Przecież nie mogę mu powiedzieć, że nie mam emerytury – pomyślała.

Wuefista się rozchorował, więc Aleksey wrócił ze szkoły wcześniej niż zwykle. Tata kończył jakiś projekt na zaraz, mama, ogromnie zaaferowana, uczestniczyła w webinarze dotyczącym zwiększenia sprzedaży. Na monitorze jej laptopa bardzo pewny siebie koleś w garniturze opowiadał o „nowych możliwościach generowania leadów”, z czego Alik wywnioskował, że szanse na obiad są niewielkie, o ile nie wygeneruje go osobiście, na co nie miał ochoty. Właściwie, jak się nad tym zastanowił, nie czuł się jeszcze głodny.

Zostawił plecak w pokoju, który dzielił z Leonem, przy okazji ogarniając wzrokiem egipsko-rzymską armię pod wodzą Spider-Mana, maszerującą przez środek podłogi, i stwierdził, że nie ma tu dla niego miejsca.

– Idę do Żubera! – rzucił w przestrzeń.

Fale dźwiękowe rozchodziły się przez chwilę, po czym przebiły się przez pola elektromagnetyczne obu komputerów i wywołały dwie równoległe reakcje.

– Kiedy wrócisz?

– Co będziecie robić?

– Pani od muzyki powiedziała, że jak ktoś chce mieć szóstkę na semestr, może zaprezentować własny utwór. Spróbujemy coś nagrać z Żuberem i Pieczoną. Wrócę na kolację – postarał się odpowiedzieć wyczerpująco na oba pytania.

Usatysfakcjonowani tym rodzice znów zatopili się w swoich elektronicznych światach. No pewnie. Nawet wymuskany elegancik od sprzedaży nie zakwestionowałby tego, że w trzeciej gimnazjum liczy się każda ocena na świadectwie podwyższająca ogólną średnią, więc nawet szóstka z muzyki warta jest zachodu.

Dotarł do Wilanowa już po zapadnięciu zmroku. Wśród identycznych apartamentowców odnalazł właściwy, kierując się na Świątynię Opatrzności Bożej, której podświetlona nie-samowitym różowym blaskiem kopuła wyglądała jak futurystyczny reaktor jądrowy.

Ochroniarz siedzący w budce u wejścia na strzeżone osiedle obrzucił go nieufnym spojrzeniem.

Czy aż tak bardzo widać, że nie jestem stąd? – pomyślał Alik. – Że roczny dochód moich rodziców nie przekracza tego, co mieszkańcy tych apartamentów zarabiają w ciągu miesiąca? Ciekawe, po czym mnie rozpoznał. Pewnie buty mam słabe, albo mowa ciała zdradza, że brak mi pewności siebie...

Przeszedł przez dziedziniec z kolorowym placykiem zabaw i jeszcze raz wstukał skomplikowany kod przy drzwiach klatki schodowej.

U Janka był już Maciek Pieczonka. Zamówili pizzę, po czym Żuber z dumą zademonstrował kolegom swój prezent gwiazdkowy: profesjonalny sprzęt do nagrywania muzyki.

- To co? Zrobimy coś? Bo wypróbowałbym, jak to działa.
- Tylko że ja nie śpiewam – uprzedził Maciek.
- Jak chcesz. Trzeba na początek nagrać wokal, potem trochę się pobawię i dorobię efekty.
- Alik niech nawija, on ma gadkę.
- Daj spokój! Musimy najpierw napisać tekst.
- Co będziesz pisał, wal z głowy. – Pieczona głęboko wierzył w improwizatorskie zdolności Aleksego.
- Ale temat jakiś trzeba mieć. O czym to ma być w ogóle?
- Bo ja wiem? Może coś o Warszawie, jak Taco Hemingway albo Pablopavo. O dzielnicy swojej, że ją kochasz i tak dalej – doradził Janek.

Aleksy chwycił mikrofon, ważył go chwilę w ręce.

- *Jestem Ali, z Mokotowa król ziomali!* – wystrzelił gwałtownie.
- Chwila, nie zdążyłem włączyć! – poskarżył się Maciek.
- Czekaj, bita ci jakiegoś pod to puszcze. – Janek pochylił się nad konsoletą.

Ale król ziomali nie mógł dłużej czekać.

– *Na mojej ulicy sami nieudacznicy* – rymował w natchnieniu. –
A na sąsiedniej przecznicy przedszkole mają Anglicy.
Kupują w warzywniaku cytrynową trawę,
placą piętnaście złotych za jedną małą kawę...

Poczuł, że to chyba tyle w tematyce społecznej, więc zmienił rytm i powrócił do typowego dla gatunku samochwalstwa:

*– Jestem Ali, ten król ziomali
na Moko nie ma takich, którzy by mnie nie znali.
Szczera mam mowę,
porażam słowem,
ostrym i głębokim jak leczenie kanałowe.
Ja jestem Ali,
ten król ziomali,
chcę widzieć, jak podnoszą się wszystkie ręce na sali!*

Stracił wenę, więc wziął głęboki wdech i poleciał Brzechwą:

*– Pozwólcie przedstawić sobie:
pan Żuber we własnej osobie.
No, pokaż się, Żubrze. Zróbże
minę uprzejmą, Żubrze!*

Janek przejął mikrofon i kiwał się przez chwilę miarowo, dostosowując do basowego rytmu.

*– Mieszkalem kiedyś na Moko, lecz bolała mnie głowa
– zaczął odważnie, choć aparat na zębach mocno zniekształcał
mu dykcję.
– Rodzice wzięli kredyt, jestem więźniem Wilanowa.
Tam poziom smogu pięćset, a na Wilanowie wieje,
opatrność czuwa, należy mieć nadzieję!*

– Nie mówi się: na Wilanowie, tylko w Wilanowie – przerwał mu Alik.

– W Wilanowie to król Sobieski mieszkał. A tu jesteśmy na Wilanowie.

– Ale tak jest nieprawidłowo.

– To sam se rapuj – obraził się Żuber i oddał mu mikrofon. Aleksego nie trzeba było dwa razy prosić:

– *A dla odmiany szkołę mamy na Kabatach.*

Dwadzieścia minut metrem – to nie koniec świata!

– *W szkole jest znośnie,
lecz IQ niestety tam nie rośnie*

– znienacka wtrącił swoją skargę Pieczona.

– *I pozostaje płaskie jak Mokotowskie Pole,
dlatego wolę chodzić po mieście,
niż siedzieć ciągle w szkole*

– podchwycił błyskawicznie Aleksy.

– I teraz refren! – Janek wyciszył basy i puścił jakieś elektro w stylu lat osiemdziesiątych. – *Nieudacznicy z Mokotowa chciałby mieszkać na Wilanowie...* – zaśpiewał falsetem.

– *Więżniowie Wilanowa chcą spacerować po Mokotowie...* – dostosował się melodycznie Alik.

– Mamy to! – podsumował z satysfakcją Pieczona.

Juliana była zła na babcię Delfinę. Wstydziła się tego uczucia, bo czyniło z niej egoistkę, więc starała się je stłumić. Ale czas mijał, babka chlipała, zamknięta w sypialni pod wielkim czarno-białym zdjęciem dziadka Witka, na którym wyglądał jak przedwojenny amant filmowy, a Julianka czuła się coraz bardziej rozżalona.

Fragment książki

Wstydu za grosz!

napisała: Zuzanna Orlińska

projekt okładki: Ilona Gostyńska-Rymkiewicz

Ilustracja na okładce: Amanda Zaręba

Wydawnictwo Literatura

www.wydawnictwoliteratura.pl

Książka wpisana na Złotą Listę
„Cała Polska czyta dzieciom”

